



Inne spojrzenie na krakowskie święta

2017-01-26

No i znowu mamy święta Bożego Narodzenia. Znów w krakowskich gazetach pojawią się opisy dawnych świąt. Autorzy artykułów sięgną do Marii Estreicherówny, do Ambrożego Grabowskiego, przypomną Antoniego Fertnera, który grając starego Gzysika w „Romansie z wodewilu”, kręcił mak na scenie Starego Teatru. Krakowianie przeczytają, jak kiedyś świętowano, gdzie na Rynku stały kramy, a gdzie sprzedawano choinki.

Michał Kozioł

Nie negując potrzeby takich opisów, warto jednak czasem spojrzeć na dawne krakowskie święta z innej strony, może mniej odświeżonej, może bardziej trywialnej, ale także prawdziwej. Przede wszystkim musimy pamiętać, że przed laty, podobnie zresztą jak i dziś, święta poprzedzał szal zakupów. Kupowano i wiktuały, i prezenty, no i oczywiście choinki, które w drugiej połowie XIX w. na dobre zadomowiły się w polskiej tradycji, choć początkowo przyjmowane były z dużą podejrzliwością jako niemiecki import.

Wiadomo, że na Wigilię potrzebna jest ryba. Dziś wszechwładnie panuje karp. Kiedyś czyste rzeki i liczne stawy dostarczały rozmaitych ryb. Wielkim szacunkiem cieszył się szczupak, oczywiście im większy, tym lepszy. Pod koniec XIX stulecia można je było kupować na pl. Szczepańskim, który przed świętami zmieniał się w rybny targ. Jedna z krakowskich gazet pisała, że na tym przedwigilijnym targu „jak Moskale pod Plewną rozciągnięte leżą na stołach szczupaki”.

Kolędnicy z szopką

Cytat ten pochodzi z 1882 r., a wtedy jeszcze świeże były wspomnienia wojny rosyjsko-tureckiej, w której zwycięstwa Rosjan okupione były wielkimi stratami. Od powstania styczniowego upłynęło wtedy co prawda już prawie dwadzieścia lat, ale krakowianie nadal nie darzyli sympatią „zaprzyjaźnionego mocarstwa”, jak eufemistycznie pisały krakowskie gazety, donosząc o złapaniu kolejnego rosyjskiego szpiega próbującego zgłębić tajemnice twierdzy Kraków. Zresztą o podtrzymywanie tej niechęci skutecznie zabiegali sami Rosjanie. Dobrym przykładem jest choćby sprawa szopkarzy z 1884 r. Wiadomo, że mieszkańcy ubogiej Galicji szukali zarobku poza jej granicami. Niektórzy jechali wiosną na saksy do Niemiec, inni najmowali się latem jako kosiarze do polskich majątków na Ukrainie. Natomiast zimą szukali za granicą zarobku krakowscy kolędnicy. Granica była niedaleko, a za Michałowicami, za Szycami i ziemia była lepsza, i gospodarze zamożniejsi. Mogły więc chodzące z szopką andrusy liczyć na jakiś poczęstunek, a i na grosz. Władze rosyjskie patrzyły na ten zwyczaj bardzo niechętnie. Można podejrzewać, że czynownicy uważali polską szopkę za poważne zagrożenie i podejmowali stosowne przeciwdziałania. Pisały o tym krakowskie gazety w 1884 r. zaraz po Bożym Narodzeniu. M.in. demokratyczna „Nowa Reforma” donosiła: „wydanem zostało w Królestwie Polskim dla pogranicznych powiatów rozporządzenie, aby ludzi pochodzących z Galicji, a trudniących się pokazywaniem szopki, chociażby posiadali odpowiednie legitymacje, uważać za włóczęgów i jako takich surowo karać”. Krakowskie pismo przyznawało lojalnie, iż rzeczywiście nie można zaprzeczyć, że w ostatnich czasach wśród kolędników trafiają się „indywidua wielce podejrzanej konduity”. Jednak jego zdaniem „drobiazgowość władz rosyjskich specjalnie dla takich osób wydających przepisy, nie jest zwykłą i bezwarunkowo wywołaną została z pobudek innej natury, aniżeli samo bezpieczeństwo i zapobieganie demoralizacji, jaką



jest włóczęgostwo”.

Opłatki z zaświadczeniem

Wracając do tematu wigilijnych stołów, trzeba przyznać, że działające w Krakowie od końca XIX w. Towarzystwo Ochrony Zwierząt robiło wszystko, aby przekonać krakowian do odrobinę bardziej litościwego obchodzenia się z przeznaczonymi na te stoły rybami. Przede wszystkim zwalczano barbarzyński zwyczaj „zdzierania łusek z ryb jeszcze żywych”. Aby zniechęcić krakowian do tych praktyk, „Opiekun Zwierząt”, organ Towarzystwa, pisał: „Należy pamiętać, że ryby, w jakikolwiek sposób dręczone i męczone, stają się dla nas, którzy je spożywamy, prawdziwą trucizną i przyczyną wielorakich chorób, czego niejednen z nas ani się domyśla i spodziewa”. We własnym więc interesie należy szybko pozbawić rybę życia. A łuski łatwo da się usunąć, jeżeli po zabiciu zanurzymy ją na kilka sekund w gorącej, ale nie wrzącej wodzie.

Podczas polskiej Wigilii niezbędny jest opłatek. Był stary zwyczaj, że przywilej roznoszenia ich po mieszkaniach parafian przysługuje kościelnym. Zdarzało się jednak, że niepowołane osoby robiły im konkurencję. Kościelni oczywiście bronili swoich praw i za pośrednictwem prasy apelowali, aby brać opłatki tylko od osób legitymujących się stosownym zaświadczeniem, opatrzonym podpisem księdza proboszcza i pieczęcią parafii. Ku wielkiemu zmartwieniu etnografów i miłośników tradycji coraz rzadziej spotykało się opłatki kolorowe. Ubolewano nad tym nawet w „Ludzie”, organie Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Brak kolorowych opłatków podcinał tradycję robienia zawieszanych pod sufitem „światów”, żywą kiedyś nie tylko na wsiach, ale także na przedmieściach.

Pasterka u dominikanów

Po wieczerzy wigilijnej krakowianie tłumnie udawali się na pasterkę. Ulice Krakowa, przez kilka godzin zupełnie puste, znów wypełniały się tłumem przechodniów. Wszyscy mieli już za sobą wieczerzę, podczas której się nie tylko jadło, ale także piło, i to nie wyłącznie kompot z suszonych owoców. Niektórzy pili chyba ponad miarę i stąd zapewne brały się dziwne zachowania podczas „mszy pasterskiej”. Jak wiadomo, przywilejem dziennikarzy jest przesada, więc chyba nie do końca można wierzyć relacji z pasterki, jaką w 1898 r. zamieściła „Nowa Reforma”. Pismo to donosiło, że: „Niestety w ogólnej tej wzniosłej harmonii świątecznej są nie mile dysonanse. Do nich należy pasterka u O.O. Dominikanów, gdzie niby schadzkę dają sobie wszelkie szumowiny miasta i zamiast modlić się, świątynię zmieniają w miejsce bezwstydnego, można powiedzieć, orgii. W kościele dzieją się rzeczy, od których rumieńcem wstydu zapłonąć by mogło oblicze nawet nieucywilizowanego barbarzyńcy”. Jak zawsze w takich przypadkach notatka kończyła się apelem do odnośnych władz, aby zwracały baczniejszą uwagę na pijaków zbierających się w dominikańskim kościele.

Nawet bez tej zachęty krakowska policja miała w święta ręce pełne roboty, gdyż – jak pisała krakowska prasa – „nieodłączne od świąt libacje były powodem rozmaitych bójek”. Niekiedy bójkę te kończyły się tak poważnymi urazami uczestników, że interweniować musiało pogotowie ratunkowe. Ze smutkiem trzeba przyznać, że często bójkę te wywoływali cesarscy wojacy, zaczepiając nie tylko cywilów, ale nawet żandarmów, choć w tym przypadku wiązało się to z dużym ryzykiem, gdyż zaatakowani stróże prawa nie wahali się użyć służbowej szabli.



Owsem po oczach

W drugie dzień świąt krakowska młodzież męska z wielką gorliwością kontynuowała tradycję upamiętniającą męczeńską śmierć św. Szczepana, który, jak wiemy, został ukamienowany. Pamięć męczennika czczono, obsypując owsem przechodniów. Rzecz jasna, najchętniej obsypywano dziewczęta. O tym zwyczaju, dziś zapomnianym, a żywym na podkrakowskich wsiach jeszcze przed kilkudziesięciu laty, tak pod koniec XIX w. pisała, dość zresztą pokrętnie, prasa: „Po ulicach przejść trudno, bo wszędzie grad owsa sypie się w oczy. W zwyczaju tem znaleźć przyjemność mogą ludzie chyba na bardzo niskim stopniu kultury stojący, lecz nie idzie za tem, aby go wbrew wszelkiemu rozsądkowi dla ich specjalnie przyjemności utrzymywać nadal należało. Gdzieindziej o usunięcie barbarzyńskiego obrządku dawno się już postarano, pomyśleć powinien o tym chyba i Kraków”. Zwyczaj ten jednak był bardzo trudny do wyrugowania. Co roku gazety ubolewały nad tym, że policja nie dość energicznie ściga wyrostków rzucających owsem w przechodniów. W 1887 r. jedna z krakowskich gazet donosiła, że w drugi dzień świąt „Linia a-b i ulica Floriańska były formalnie zasypane ziarnami, a przechodzące tamtędy panie, bez wszelkiej obrony stawały się ofiarami żakowskiej tej zabawy”. Trzeba jednak przyznać, że zwyczaj ten powoli się zmieniał, stawał się mniej barbarzyński. Na początku wieku XX „krowoderskie zuchy” i „zwierzynieckie andrusy” zaczęły rezygnować z tradycyjnego owsa i zamiast ziarna obsypywały przechodniów płci żeńskiej materiałem bardziej cywilizowanym, czyli barwnym confetti.